

Edward Balcerzan

Polonisto, kim jesteś?

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5-6, 1-6

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

5/6
1990

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Polonisto, kim jesteś?

— *Ojej, pan polonista! A jeżeli jakiś błąd popełnię?*

Człowiek się krępuje, dosłownie boi się mówić.

Z takimi reakcjami na mój zawód spotykam się w okolicznościach rozmaitych. A to na przyjęciu towarzyskim u zaprzyjaźnionych pracowników służby zdrowia, to znów w światku inżynieryjno-technicznym lub sportowo-ogrodniczym; latem w beztrasko wielobranżowych kolektywach, które z jakimś biurem turystycznym wędrują do ciepłych wód; albo w kolejce skazanej na długie trwanie i dlatego rozmownej; niekiedy w skłonnym do wymiany zdań przedziale kolejowym itp. Mam prawo podejrzewać, iż wszystkie te gromadki czy garstki dają — złączone w całość — w miarę reprezentatywną „próbkę” Polski. Zresztą moi koledzy po fachu miewają identyczne przygody. Okazuje się, że w świadomości statystycznego rodaka polonista nie stanowi zagadki, przeciwnie, to postać znajoma i, by tak rzec, legalna, dopuszczalna. Ale akceptowane powszechnie bywa jedno z jego zawodowych wcieleń: językoznawcze. Góruje ono zdecydowanie nad wcieleniem historycznoliterackim (o teoretycznoliterackim lepiej zamilczeć). Polonista tedy to pan od polskiego — lubo pani od polskiego — języka. To przede wszystkim ktoś w stylu fanatyka zaimków z „Uciekła mi przepióreczka”, a dopiero na drugim lub jeszcze dalszym planie — potomek wielbiciela Słowackiego z „F'erdydurke”. Jest polonista spadkobiercą Doroszewskiego raczej niżli Wyki, bardziej Miodkiem niż Fiutem. Jest znawcą, a przeto i stróżem porządku mowy ojczystej. Jawi się w wyobraźni ogółu jako surowy policjant ortografii, nieprzekupny szeryf składni, czujny celnik polszczyzny — bezceremonialnie przetrząsający bagaże cudzej leksyki i frazeologii po to, by wytropić szkodliwe obcości, zwłaszcza szmuglowane z imperiów sąsiednich (germanizmy oraz rusycyzmy).

Żaden cudzy stereotyp nie satysfakcjonuje ludzi w nim sportretowanych. W pierwszym odruchu rodzi bunt. Próbowalem wielokrotnie zmienić obraz polonisty w oczach moich rozmówców; wyjaśniałem:

— Ach, nie, proszę się nie obawiać, ja nie jestem polonistą groźnym, zajmuję się literaturą, która nie jest dziedziną poprawności językowej, jeżeli już, to raczej dziedziną niepoprawności — szczególnej, artystycznej, na przykład w poezji, ale nierzadko i w prozie...

Jeżeli udawało mi się przekonać moich inżynierów czy kolejkowiczów, że ktoś taki jak ja im nie zagraża, natychmiast zmieniali temat. Przesławiali się mną interesować — jako polonistą. Gdybym należał do poprawnościowców języka, budziłbym respekt i jednocześnie ciekawość. Można by się było ode mnie dowiedzieć, jak się mówi i jak się nie mówi. Lecz skoro sam siebie demaskuję jako „niepoprawnościowca”, nie wiadomo, do czego służę.

W stereotypie polonisty odsłaniają się wcale nie romantyczne, odwrotnie, na przekór narodowej mitologii — trzeźwo pragmatyczne nastawienia i hierarchie potoczności. Język jest traktowany przez ogół użytkowo. Językoznawstwo — tak samo. Dla statystycznego obywatela język stanowi urządzenie, z którego korzystają wszyscy i które bywa narażone na błędy użytkowników. Usprawiedliwia to kształcenie specjalistów zdolnych do korygowania błędów. Co prawda wyżej ceni się dziś w Polsce ekspertów panujących nad „urządzeniami” języków zachodnioeuropejskich. Tu nikt nie wątpi, że język obcy to skarb. Na obczyźnie widać wyraźnie, jak język dobywa pieniądze. Język określa byt; język wyprzedza egzystencję. Ale wiadomo również, że i w granicach ojczyzny-polszczyzny droga ku fortunie prowadzi przez wyspecjalizowane słowniki i gramatyki, a zatem wszelka biegłość językowa ma swą cenę: polonistyczna też. A literatura? A literaturoznawca? Po pierwsze rzadko kto ogranicza się do literatury rodzimej, z reguły sięga po utwory obce, najczęściej spolszczone, niekiedy w wersjach oryginalnych. Tak czy inaczej polonista okazuje się w komunikacji literackiej jednym z wielu znawców. Nie ma władzy monopolisty. Po drugie, w odczuciu powszechnym (ku radości dekonstrukcjonistów) czytanie dzieł literackich wydaje się dziedziną wolności bezbrzeżnej, a zarazem niekoniecznej, „nadliczbowej” czy „ponadwymiarowej”. Gdy kończy się szkoła, kończy się obowiązek obcowania z twórczością literacką i, niemal automatycznie, znika poczucie błędu lekturowego. Ginie pojęcie odbioru wadliwego, narażonego na pomyłki: tu nikt się nie myli. Tam, gdzie utrwała się pogląd, iż każdy ma rację i każdy zachowuje się bezbłędnie, cokolwiek myśli i czyni, przewodnik staje się postacią problematyczną.

Nie chcę przez to powiedzieć, iż komunikacja literacka — pozaszkolna oraz niespecjalistyczna — pozbawia nas wszelkich szans. Tak źle nie jest. Obraz polonisty w świadomości powszechnej ulega przepolowieniu, rozdwojeniu. Dwa główne wcielenia zawodu polonistycznego, językoznawcze i literaturoznawcze, zostają tu brutalnie rozłączone, skierowane do dwóch różnych, a nawet sprzecznych porządków. Lingwista staje w szeregu umiejętności praktycznych, podlega normom użyteczności. Nie dziwi obok elektronika, weterynarza, gorsecistki, dróżnika. Człowiek literatury musi szukać dla siebie miejsca gdzie indziej. Wśród ideologów lub hobbystów, między nawiedzonymi a bawiącymi się, światopoglądami a sposobami spędzania wolnego czasu. Tak oto polonista widziany z zewnątrz nie jest jedną osobą, a jeżeli upiera się, by nią być, wygląda jak Dziwny Pasażer z dramatu Tymoteusza Karpowicza. Składa się z połowy cielesnej i połowy zaginionej, z materii i nicości, z bytów sprzecznych. Jest rozbity, niejasny, dwuznaczny. Najosobliwsze wydaje się to, iż w perspektywie wewnętrznej, a zwłaszcza osobistej, polonista nie odczuwa własnej dwuznaczności. W każdym razie nie odczuwał dawniej. Mój na przykład żywot polonisty (pocziwego?) był dla mnie przez wiele lat bezpieczną oczywistością — równą oczywistościom natury. W klasie uchodziłem za pozytywny przypadek świra polonistycznego: pozytywny nie tylko z tej racji, że wzywany na pomoc w razie katastrofy wypracowaniowej, ale i z wyższych względów — świr polonistyczny, koniecznie wspólny z innymi świrami (matematycznym, obcojęzycznym, wuefiarskim, zabawowotanecznym) pozwala grupie rówieśniczej czuć pełnię, być modelem świata. Potem studia, polonistyczne rzecz jasna; po niejakiach perypetiach udało mi się zostać pracownikiem macierzystej filologii polskiej; odtąd polonistyka stała się moim krajobrazem i kalendarzem (kolejne lata materializowały się jako kolejne roczniki studenckie — wchodzące do Collegium Novum i opuszczające ten gmach „z dyplomami już w kieszeni”); ochoczo uczestniczyłem w życiu polonistycznym struktur formalnych i nieformalnych, w sesjach, nawet grach towarzyskich (wierszyki konferencyjne: limeryki, bajki, ucieszne nagrobki); przyjaźniłem się głównie z polonistami; ożeniłem się z polonistką, której rodzice okazali się polonistami... Po cóż miałbym pytać, kim jest polonista? Odpowiedzią było moje otoczenie, moje życie. Sprzyjała temu aura ogólna. (Do czasu.)

W latach sześćdziesiątych polonistyka wydawała się obszarem wyzwolonym, suwerennym, pewnym. Janusz Sławiński powiedziałby, że znalazła się (razem z literaturą) w rezerwie. Chyba tak; izolacja od napięć zewnętrznych sprzyjała jednak bardziej wiedzy o literaturze niż twórczości literackiej, nasz rezerwat w tym czasie miał więcej zalet niż wad. Siódma dekada mijającego stulecia

usiłowała zachwiać naszym bezpieczeństwem. Bezskutecznie. Im jaśniej widzieliśmy nieuchronny rozpad i zamęt wokół nas, tym silniejsza była wiara, że nas to nie dotyczy, nam to nie zagraża. Zagroziło w następnej dekadzie. Pamiętam, między Sierpniem a Grudniem po raz pierwszy zobaczyłem zburzenie granicy między polonistyką a resztą Polski. Zobaczyłem — dosłownie. Gmach Collegium Novum zmienił się nie do poznania. Rzadko przypominał budynek uniwersytecki. Częściej wyglądał jak obozowisko pielgrzymów. Materace, śpiwory, sutanny. Kanapki, herbata, gitara, mikrofon. Pełno papieru — na podłodze, w popielniczkach dymiących jak pochodnie, na parapetach; stare plakaty, ulotki, komunikaty komitetów strajkowych, petycje, prowiant. Przychodziłem do pracy, a pracy nie było, ubywało jej, coś ją unieważniało i deprecjonowało. Chodząc po gmachu trzeba było uważać, żeby nie nadepnąć na któreś z młodych, strajkujących Istnień Poszczególnych — odsypiających nocny wiec pod drzwiami gabinetu lub tuż obok szklanych, wahadłowych drzwi. Raz pomyślałem nagle i przestraszyłem się tej myśli: a jeżeli taki stan trwać będzie wiecznie? Młodzież będzie w gmachach uczelnianych wciąż pielgrzymowała do Wysp Szczęśliwych realnego kapitalizmu, my na zebraniach „Solidarności” wciąż będziemy albo popierali strajk kolejny, albo wzywali do niestrajkowych form oporu. Poloniści młodszy będą doskonalili rzemiosło pisania ulotek czy petycji; poloniści starsi będą przychodzić do pracy i poruszać się tak, by nie nadepnąć... Gdybyśmy wtedy zwyciężyli, sprawy wzięłyby inny obrót. Ale przegraliśmy wtedy i obrót spraw okazał się fatalny. Polonistyka znalazła się w sytuacji ostrego kryzysu — wewnętrznego. (Inne kierunki studiów też, o ile się nie myślę.) Opór społeczny, podtrzymywany w stanie wojennym hasłami „pracuj wolniej” oraz symboliką żółwia — czym mógł być dla wyższych uczelni? Dla ludzi rozsądnych — nieporozumieniem, hasłem „nie na temat”; dla lawirantów i leniuchów — wspaniałym alibi, ideologią tłumaczącą samoogłupienie. Próbowano i na polonistyce uwierzyć, że kto próżnuje, czyni tak na pohybel totalitaryzmowi; kto „olewa” sylabizm i nie czyta Prusa, ten walczy o niepodległość. Łatwo to było wyśmiać. Trudniej wznowić sens pracy, odzyskać jej ważność i atrakcyjność. Uświadomiłem sobie wówczas, że nie dysponujemy językiem, który mógłby w tym pomóc. Nie ma wizerunku polonisty. Nikt go nie opisał, przez tyle lat wydawał się zrozumiały „sam przez się”, mieścił się w przezroczyściej oczywistości zawodu. Oczywistość objawiła się jako nicość. Fakt tym bardziej zdumiewający, że w tylu innych przypadkach nie stronimy od autoprezentacji czy autocharakterystyki; nie obezwładnia nas nadmierna skromność. Potrafimy mówić na temat wyspecjalizowanych ról polonistycznych, wariantów czy odmian zawodu. Na pytania: kim jest

historyk piśmiennictwa doby staropolskiej? co to znaczy być krytykiem literackim? jakie cechy wyróżniają folklorystę czy dialektologa? co może zrobić nauczyciel języka polskiego w szkole średniej? — znajdziemy wiele odpowiedzi. Całą literaturę, całą bibliografię. Natomiast rola nadrzędna, prymarna, scalająca różnorodność dziedzin i specjalizacji — rola polonisty — nie ma swojego „stanu badań”. Polonistę trzeba dopiero rozpoznać, wykreować.

Sądzę, że — między innymi — warto wyjaśnić kwestie następujące.

1. Polonistyczne inicjacje czy „powołania”. Rola polonisty jest z reguły przyjmowana dobrowolnie; nie znam przypadków zmuszania maturzysty do studiów polonistycznych (innym zawodom to się zdarza); znam decyzje młodych ludzi, którzy wybrali zawód polonisty wbrew woli rodziców, na przekór środowisku domowemu. Jak się wydaje, przeważają tu „powołania” wczesne, iluminacje sięgające lat dziecięcych. W tych najpierwszych olśnieniach nie ma jeszcze konfliktu między pasją literacką a ciekawością języka. Język wyzwala przeżycie poetyckie, poezja jest doświadczeniem lingwistycznym. Lecz skoro tak, należałoby założyć, że polonista „rodzi się” podobnie jak pisarz, te dwie role różnicują się później (niekiedy przychodzący na studia sądzą, że nauczymy ich pisać powieści i wiersze; nierzadko obie te role walczą w czyjejs biografii o prymat do końca).

2. Polonista w systemie komunikacji literackiej. Należy do publiczności czytelniczej i nie jest mu obojętna ani jej liczebność (chce, by czytelników przybywało), ani poziom kultury odbiorczej (dba o obcowanie z tekstami literackimi — ciągle i źródłowe). Powiedzieć by można, iż polonista idealny, gdyż o nim tu mowa, nie potrafi pogodzić się z faktem odmowy lektury. Jego utopia to społeczeństwo w całości przemienione w społeczność czytającą dzieła sztuki literackiej.

3. Aksjologia polonistyczna. Każdą rolę społeczną da się scharakteryzować poprzez wartość, która jest dla niej centralna i fundamentalna. Otóż sądzę, że wartość najważniejszą dla polonisty dałoby się określić jako „narodowa kultura literacka”. Narodowa czyli polskojęzyczna. I jeszcze: „narodowa” rozumiana tak, jak rozumiemy to słowo w wyrażeniach typu Scena Narodowa czy Biblioteka Narodowa. Mówiąc o „kulturze literackiej” mam na myśli nie tylko kulturę odbioru, o czym już była mowa, ale także kulturę pisarską. Chcę powiedzieć, że polonista to ten, kto, mając rzadko lub nie mając wcale możliwości wpływu na twórcę, martwi się o poziom kunsztu autorów polskojęzycznych (zatem również o poziom tłumaczy), przejmując się ich sukcesami oraz porażkami, towarzyszy emocjonalnie ewolucjom polskiej liryki, nowelistyki i dramaturgii. Tym zaraża, stara się zarażać innych.

Nieobojętność i obojętność ogółu wobec narodowej kultury literackiej stanowi zjawisko trudne do opisu, ale równie trudno przecenić jego wagę. Proponowana przeze mnie nazwa ma jedną widoczną gołym okiem skazę: faworyzuje literaturoznawcze aspiracje polonisty i przesłania lingwistyczne. Wyjściem z pułapki byłaby zgoda na to, by słowo „literacki” rozumieć szeroko, pamiętając, iż językoznawstwo także posługuje się tym określeniem, gdy mówi o „języku literackim”.

4. Strategie polonistyczne. *Narodowa kultura literacka to dla polonisty wartość niestabilna, zagrożona, wymagająca ochrony i obrony. W dziejach naszego zawodu pojawiały się rozmaite strategie ocalenia tej wartości, posługujące się różnymi argumentami. Można by je podzielić z grubsza na argumenty racjonalne i emocjonalne. Z racjonalnymi warto dyskutować, z emocjonalnymi nie. Do argumentów racjonalnych należy na przykład argument patriotyczny (narodowa kultura literacka jako ostoja polskości), argument etyczny (w narodowej kulturze literackiej znajdują najpełniejszy wyraz racje Dobra i najskuteczniej bywa poskramiane Zło), argument artystyczny (narodowa kultura literacka jako domena Piękna). Polemika z tymi argumentami sprowadza się z reguły do wskazywania wartości konkurencyjnych, nie gorzej lub wręcz lepiej służących patriotyzmowi (religia, obyczaje ludu), etyce (wzory zachowań) czy estetyce (inne sztuki: plakat, polska szkoła filmowa, Kantor). Argument emocjonalny jest jeden, można by go nazwać wolicjonalnym czy woluntarystycznym, a podlegająca mu strategia polonistyczna sprowadza się do zdania: narodowa kultura literacka jest wartością najwyższą, ponieważ ja, polonista, chcę, by nią była. Z tym nie ma dyskusji. I co ciekawe: to działa najskuteczniej.*

5. Postawy polonistyczne. *Są dwie krańcowe, znane innym rolom, ale mimo to godne odnotowania: heroiczna i hedonistyczna. Zaletą postawy heroicznej, która rolę polonisty przemienia w posłannictwo, jest aura wzniosłości i patosu — w pewnych sytuacjach psychologiczno-historycznych nieodzownych dla życia idei. Wadą: niebezpieczeństwo bezwzględnych wymogów (stawianych sobie i kolegom po fachu) powodujących krytycyzm tak nadmierny, że zabójczy dla wszelkiej działalności. Postawa hedonistyczna nie rodzi takich obaw. Przeciwnie, każe traktować pracę polonistyczną jako zabawę. Odsłania jej atrakcyjność, charakter przygodowy. Zarazem jednak udziela schronienia nadto niefrasobliwej swobodzie, jest nielaskawa dla wysiłku, kłopotliwa w szarej codzienności. Wygrywiają i pozwalają żyć warianty pośrednie, dynamiczne, otwarte dla powagi i dla żartu.*

Edward Balcerzan